Rocznik IV. Kraków 5-go października 1912. Nr. 4.

NASZA SKARBNICA

pismo dla rodzin chrześcijańskich

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **5**-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi na rok **3** korony — półrocznie: **1** kor. **50** hal. — Do Niemiec na rok **4** korony — na pół roku: **2** kor. — Do Ameryki rocznie: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12

Od wydawnictwa!

Tych Szan. Czytelników, którzy zapewne przez zapomnienie nie uiścili jeszcze prenumeraty na to drugie półrocze, prosimy, aby ją wnet nadesłali, bo już ostatni kwartał się zaczyna — a więc ku temu czas najwyższy.

Chwilowo nie dajemy „Naszej Skarbnicy“ osobnej okładki, bo ta dużo kosztuje — a dochody z prenumeraty nie wystarczają na pokrycie kosztów pisma!

Kto jest patryotą?

Patryotą nazywamy człowieka, który zawsze i wszędzie pracuje dla dobra swej Ojczyzny, który całem sercem kocha swój naród, jest niejako dumny ze swej przynależności do niego i unika czynów, przynoszących jakąkolwiek szkodę lub ujmę temu narodowi.

Miłość Ojczyzny u niego wielką odgrywa rolę, to też zdolny on jest do największych nawet poświęceń dla dobra swego narodu i w każdym czynie, w każdej pracy swej ma przedewszystkiem na oku dobro ogółu, dobro sprawy narodowej. Pamięta on zawsze o tem, że jest członkiem swego narodu, że więc jego siły i zdolności są

niejako własnością tego narodu i że nie wolno mu ich tracić niepotrzebnie lub rozpraszać. Takim powinien być prawdziwy patryotyzm i tak powinien kochać swój naród każdy, kto chce być dobrym synem swej Ojczyzny.

Czy my jednak tak kochamy naszą Ojczyznę? Zdaje się, że nie. W dzisiejszych czasach można spotkać nawet takich, którzy miłość Ojczyzny poprostu wyszydzają. Gdy się jednak głębiej zastanowimy nad tą naszą miłością Ojczyzny, to przyznać musimy, że my wcale nie jesteśmy patryotami takimi, za jakich się uważamy lub za jakich inni nas uważają. My kochamy swój naród nieraz nawet bardzo silnie, ale kierować się tą miłością w życiu nie chcemy, czy też nie umiemy. Nasza miłość Ojczyzny jest przeważnie powierzchowną i pustą.

Każdy człowiek ma względem swojego narodu pewne obowiązki, które musi wypełniać, jeżeli prawdziwie kocha ten naród. Wiemy, że tylko narody silne, składające się z jednostek zdolnych, stanowczych i wytrwałych, zajmują najlepsze stanowiska w świecie pod każdym względem. Stąd wypływa najgłówniejszy obowiązek dla nas: dbać o pomnażanie sił swego narodu. Ponieważ zaś każdy z nas jest maleńką cząstką narodu, przeto powinien dbać o to, aby swych sił, zdolności, zdrowia i stanowczości nie tracić na błachostki, lecz zbierać je i skupiać w sobie, jako dobro ogólno-narodowe. »Jakie jednostki, taki naród«. Wiedzą o tem dobrze wszyscy, a jednak rzadko kto tą zasadą kieruje się w życiu.

Bardzo często mówimy o miłości Ojczyzny, wzruszają nas czyny poświęcenia dla dobra narodu, o jakich czytamy w historyi, zdaje nam się nawet wtedy, że sami zdolni bylibyśmy do takich poświęceń i że nie zawahalibyśmy się, gdyby przyszło oddać życie dla dobra narodu. Życiem jednak codziennem dowodzimy, że niezdolni jesteśmy odmówić sobie nieraz nawet drobnych przyjemnostek dla dobra ogólnego, że wcale nie dbamy o pomnażanie i zachowywanie sił swego narodu, i że wiedząc o tem, iż siły nasze są cząstką sił ogólno-narodowych, tracimy je często niepotrzebnie, rujnujemy sobie zdrowie, zatracamy swoją sprężystość umysłową w pijaństwie i karłowaciejemy pod każdym względem.

Żal ściska serce, gdy widzi się, jak ludzie, uważający siebie za dobrych Polaków, oddają się pijaństwu i wogóle życiu hulaszczemu, jak i wielka część młodzieży naszej zatraca poczucie godności osobistej i obojętnieje pod względem narodowym.

Tak wygląda nasz patryotyzm, taka jest nasza miłość Ojczyzny. Rzecz oczywista, że mamy jeszcze prawdziwych patryotów, pracujących szczerze i z poświęceniem dla dobra sprawy narodowej, lecz liczba ludzi tych niknie wobec całego ogromu tych, którzy żyją jedynie i wyłącznie według starodawnego przysłowia naszego: »Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa!« A przecież wiemy z historyi, że ludzie służący jedynie złotemu cielcowi i dbający tylko o wygody osobiste doprowadzają naród swój do upadku.

Pamiętajmy, że Polska nasza upadła skutkiem złego życia części przodków naszych i że naszym obowiązkiem jest zmazać winę ojców naszych życiem przykładnem i szlachetnem, życiem religijnem i narodowem. Miejmy zawsze i wszędzie na oku dobro narodu, a gdy szczerze i z poświęceniem pracować będziemy dla Ojczyzny, wtenczas, ale też tylko wtenczas zasłużymy na miano prawdziwych patryotów.

Spełniona wróżba.

(Wspomnienie historyczne przez J. T.).

Na prawym brzegu Dunaju, na stoku wzgórza, wznosi się od bardzo dawnych czasów miasto Buda, stolica Węgier. Było to w połowie XVI. stulecia. We wspaniałej komnacie królów węgierskich siedziała młoda jeszcze niewiasta o twarzy pięknej, na której głęboki smutek się malował; wdowie jej szaty mówiły. jaka była przyczyna tego smutku, korona na głowie, jakie stanowisko zajmuje. U kolan niewiasty małe chłopię wdzięczy się i śmieje, widać, że smutku matki nie rozumie; wyciąga rączki do niej i niezrozumiałą mową coś opowiada, lecz ona pojęła ją, bo któraż matka dziecięcia swego nie rozumie?

Zdala nieco od nich stoi zadumany poważnie jeden z panów węgierskich i posępnie spogląda to na dziecko, to ku podwojom, wiodącym do dalszych pokoi.

W tem w przyległej komnacie rozległy się czyjeś kroki, a za chwilę stanął potem w progu drzwi mnich w ciemnym habicie, z różańcem u pasa, w sandałach drewnianych.

Zatrzymał się w progu, chwilę popatrzył smutnym wzrokiem na grupę osób w głębi pokoju się znajdującą, poczem krokiem cichym, poważnym zbliżył się do niej:

— Królowo! — rzekł, skłaniając głowę przed niewiastą w żałobne szaty przybraną — z niezłą wieścią dziś przychodzę: Sejm zebrany w Rakos, syna twego królem Węgier ogłosił, a tobie, pani, regencyę państwa powierzył.

Smutną twarz kobiety ożywił na chwilę uśmiech blady.

— A więc syn mój na tronie ojcowskim zasiędzie — odparła wzruszonym głosem — więc nie wydrą mu źli ludzie dziedzictwa...

Słyszysz Zygmuncie, ty królem będziesz — dodała, chyląc się do chłopca i pocałunek kładąc na jego czole. — Bóg czuwał nad sierotą...

Dziecię, zachęcone pieszczotą matki, wdarło się na jej kolana, a ona przygarnęła je czule do serca.

— Bądź jednak przygotowaną, królowo, iż bez rozlewu krwi się nie obejdzie — począł znowu mnich. —

Austrya czyni zabiegi coraz energiczniejsze, by na tronie Węgier zasiadł arcyksiążę Ferdynand, zbroi się już podobno i zamierza wkroczyć w granice państwa naszego.

— Więc z naszej przyczyny krew lać się będzie? — głosem pełnym niepokcju spytała królowa — czyż nie lepiej w takim razie, byśmy dobrowolnie ustąpili... Szczęście nietylko na tronie znaleść można; dla mnie szczęście, to życie ciche, to syn mój; wolę wyrzec się tytułu matki królewskiej, byle żyć w spokoju razem z synem moim. Raz jeszcze pytam was, Jerzy Martinuzi, czyż nie lepiej byłoby, gdybyśmy dobrowolnie ustąpili?...

— Nigdy nie zezwolę na to — posępnie marszcząc czoło, odparł mnich — i wy, hrabio Temae — tu zwrócił mowę do milczącego wciąż magnata węgierskiego —

sądzę, że i wy również nie zgodzicie się na coś podobnego...

Nieboszczyk król Jan obu nas zaszczycał swem zaufaniem; nie zdradzimy więc sprawy jego syna i korony, prawem dziedzictwa należącej mu się, nie oddamy obcemu.

— Lecz czyż czujecie się na siłach, ojcze Martinuzi, opór Austryi stawić? — zapytał hrabia.

— Turcya nam pomoże, już obiecała — odparł mnich.

— Turcya? wylękłym tonem powtórzyła królowa — więc aż do tego przyszło, że aż wroga wiary naszej pomocy wezwaliście? O, pozwólcie mi usunąć się stąd z dzieckiem, powtarzam i powtarzać nie przestanę, że milszy mi spokój nad blask korony; pragnę jeno ciszy, pragnę jeno syna wychowywać, kochać go, myśleć o nim, kształcić jego umysł i serce, aby z czasem był zacnym człowiekiem; wszystko inne obojętne mi... Jutro wyjadę z Budy; niechaj Ferdynand bez rozlewu krwi wkroczy do niej, niechaj przez nas matki, żony i dzieci nie płaczą, niechaj przez nas ludzie nie giną.

— Regentką jesteś wprawdzie, królowo odparł mnich — lecz ja mam wpływ w tym kraju i czego nie zechce Biskup Warazdynu i wielki podskarbi państwa, Jerzy Martinuzi, tego żaden Węgier nie zechce.

Ciężkie westchnienie wydarło się po tej odpowiedzi z piersi kobiety; nie rzekła już nic, a komnatę cisza zaległa.

Tą niewiastą w szatach wdowich była Izabella, królowa Węgier; niedawno śmierć wydarła jej męża, teraz synowi jej sąsiedzi koronę zabrać chcieli.

Jan Zapolya, król Węgier, wcześnie osierocił żonę, z którą zaledwie lat kilka przeżył.

Na całą pociechę został Izabelli jej synek maleńki, Jan Zygmunt, który dwa imiona nosił: pierwsze ojca, drugie wuja, brata matki, Zygmunta Augusta, króla polskiego. Umierając, król Jan powierzył opiekę nad młodą żoną i dwuletnim synem swoim dwom ludziom, którym ufał bez granic; jednym z nich był Jerzy Martinuzi, Biskup Warazdynu i wielki podskarbi państwa, drugi Piotr hrabia Temae.

Nie ulegli oni prośbom Izabelli, wezwali pomocy sułtana Solimana, a ten jak najspieszniej przysłał chętną odpowiedź.

Kilka miesięcy zaledwie upłynęło od owej rozmowy królowej z opiekunami ojca, gdy w Budzie rozbiegła się wieść, że Austryacy ciągną ku stolicy Węgier. Wieść ta mylną nie była: huk dział przekonał o tem niedługo mieszkańcom Budy. Zadrżały ściany domów od pocisków wroga, krzyki trwogi i rozpaczy rozlewały się po ulicach. Stronnicy Izabelli stanęli odważnie na murach miasta i oświadczyli, że do ostatniej kropli krwi będą bronili sprawy syna króla Jana.

Lecz Austryaków siły były liczne, ich zaś tylko garść, a każdy dzień tę garść uszczuplał. Zwątpienie więc poczęło się w sercu mieszkańców Budy.

Królowa z razu błagała Biskupa i hrabiego, aby kazali otworzyć bramy Ferdynandowi, a jej pozwolili opuścić miasto. Gdy jednak przekonała się, że prośby jej są daremne, w modlitwie szukała pociechy. Całe dnie spędzała niemal pod krucyfiksem ze złożonymi rękoma. Nieszczęśliwa kobieta czyniła sobie wyrzuty, że przez nią, że dla niej giną ludzie i błagała o przebaczenie Boga za grzech, który z jej przyczyny, lecz nie z jej woli się pełnił. Węgrzy bronili się odważnie, lecz coraz mniej mieli nadziei, aby zwyciężyć mogli.

Pewnego dnia wszakże wśród stojących na murach rozległy się okrzyki zadowolenia. Zdala ujrzano nadciągających Turków. Czerwone i białe turbany, krzywe szable, świecące półksiężyce i buńczuki, które tylekroć trwogę i rozpacz w chrześcijańskich wojskach budziły, tym razem radość wznieciły wśród nich. Prowadził Turków Machmet-basza. Jechał on przodem na białym koniu, w rząd świecący od klejnotów przybrany, za nim janczarowie dzielni, w bojach zahartowani, a wreszcie kilkakroć Turków.

I bój zawrzał z podwójną zaciętością. Muzułmanie całą siłą uderzyli na obóz austryacki i po kilkogodzinnej walce złamali nieprzyjaciela, następnie ścigać go i mordować poczęli, a wpadłszy, jako zwycięzcy do miasta Pesztu, co naprzeciw Budy się wznosi, wycięli w pień jego mieszkańców, nie oszczędzając ni starców, ni kobiet ni dzieci. Ulice

Peszatu trupami były zasłane, a wody zafarbowały się krwią pomordowanych

Walka ustała, strzały ucichły, ci, co przedtem walczyli na murach stolicy, zajęli się teraz obowiązkami Sióstr miłosierdzia. Zdrowi opatrywali ranionych i do szpitali ich nieśli, umarłych grzebali. Królowa Izabella czynnie zajęła się losem rannych. Już nie spędzała całych dni na modlitwie, lecz od jednego łoża do drugiego przechodziła, niosąc nieszczęśliwym pomoc i słowa pociechy.

Tymczasem Turcy po trudach bojowych spoczywali spokojnie w wyludnionem przez nich mieście. Powoli nadciągnął też cesarz Soliman. Mieszkańcy Budy z niepokojem dowiedzieli się o jego przybyciu i drżeli, by ten okrutny zwycięzca tak samo z nimi się nie obszedł, jak wezyr jego z mieszkańcami Pesztu. Izabella podzielała ogólne obawy. Soliman wszakże nie opuszczał Pesztu, lecz ranka jednego kilku baszów tureckich stanęło przed bramami Budy i oświadczyło, że pragną widzieć się z regentką. Straż posłała natychmiast z zapytaniem do Jerzego Martinuzi, co czynić. Biskup kazał ich wpuścić, wyszedł naprzeciw nich i sam poprowadził poselstwo do Izabelli.

Baszowie stanąwszy przed królową, skłonili jej się nizko, poczem jeden wystąpił naprzód i ręce założywszy na piersiach, rzekł, chyląc głowę ku piersiom:

Wielki sułtan, Soliman, pan życia i mienia naszego, kazał przez usta nasze rzec ci królowo: »Poślij syna, swego do obozu Solimana, gdyż pragnie on uścisnąć dziecię, dla którego tyle krwi naszej się przelało, tyle głów spadło z karków naszych, tyle serc naszych na zawsze zastygło...»

Izabella pobladła śmiertelnie.

— Syn mój niemowlęciem jest jeszcze — odparła — jechać nie może do sułtana.

— Król Jan Zygmunt powinien osobiście podziękować wielkiemu sułtanowi za to, co dlań uczynił — odezwał się posępnie Jerzy Marteinuzi — i dziś jeszcze będzie on w obozie tureckim.

Izabella skłoniła głowę na piersi z poddaniem milczała. Wiedziała już, że z Biskupem spierać się nie można, bo nie ustąpi.

Zadowoleni z odpowiedzi baszowie złożyli powtórny ukłon regentce i oddalili się; zaledwie przestąpili próg komnaty królewskiej, Izabella zwróciła się do Biskupa:

— Ja umrę ze strachu jeśli poślecie dziecię do obozu wroga naszej wiary — rzekła.

— A ja ufam, iż silniejszą jesteś królowo, niż sądzisz— odparł spokojnie Jerzy Martinuzi. — Byłoby niewdzięcznością odmawiać sułtanowi tego, o co prosił.

To powiedziawszy, zwrócił się de jednego z panów i w imieniu regentki wydał rozporządzenie, aby bezzwłocznie zajechał na dziedziniec wóz królewski i aby Jana Zygmunta piastunka przystroiła w najpiękniejsze suknie...

W pół godziny potem maleńki król Węgier, siedząc na kolanach piastunki w paradnym wozie królewskim jechał do Pesztu.

Kilku z przedniejszych panów węgierskich na koniach otaczało wóz, a przodem na ognistym rumaku pędził goniec, wspaniale przybrany: w jedwabnej sukni, w bekieszy futrem sobolowem podbitej, w czapce z kitą szmaragdową.

Pełnym niepokoju wzrokiem, stojąc w oknie, odprowadziła Izabella syna za bramę dziedzińca, a gdy wóz znikł z jej oczu, gdy ścichł turkot i rżenie rumaków, zwróciła się do klęcznika i padłszy na kolana, w łzach i modlitwie szukała ukojenia. Próżne były wszakże ich obawy, sułtan, gdy mu przyniesiono Jana Zygmunta, wziął wylękłe chłopię na ręce, obsypał je pocałunkami, darami obdarzył, a zwróciwszy się do synów swoich rzekł:

— Kochajcie Jana Zygmunta, jak brata rodzonego.

Potem odesłano dziecko pod strażą baszów pełnej o niego niepokoju matce.

Teraz mogła marzyć Izabella, że dni pokoju dla niej zawitają, że nareszcie zacznie wychowywać syna i czekać, póki nie wyrośnie i nie odbierze od niej mozolnych rządów państwa. Lecz niestety, rzadko kiedy spełniają się ludzkie marzenia.

Jeszcze Turcy ziemi węgierskiej nie opuścili, jeszcze rany tym, co walczyli w obronie Jana Zygmunta, nie pogoiły się, gdy przyszły znów wieści, że arcyksiążę Ferdynand ciągnie z licznem wojskiem ku Budzie, a za wieściami

niebawem zjawili się Austryacy i wojna na nowo wybuchła. Tym razem wkrótce zwyciężył Ferdynand...

. . . .

Było to w roku 1552. W opactwie, znajdującem się niedaleko miasta Koloswar, zebrali się licznie panowie węgierscy i austryaccy, a z nimi całe tłumy ludu. Tłoczno w sali, a mimo to cisza uroczysta w niej panuje. Na twarzach panów węgierskich smutek głęboki widny, w oczach panów austryackich świeci radość. W tem szmer obiegł zebranych, do sali ktoś jeszcze wszedł, to Izabella z synem, za nią hrabia Temae i Biskup Warazdynu.

Regentka krokiem wolnym zbliżyła się do tronu, stojącego w pośrodku zebranych i miejsce na nim zajęła, obok stanął z jednej strony trzyletni Jan Zygmunt, z drugiej Jerzy Martinuzi i hrabia Temae.

Wówczas zebrani w sali powstawszy, kornym ukłonem królowę powitali, poczem znowuż siedli; chwilę jeszcze cisza panowała w sali, nareszcie z pomiędzy panów austryackich wysunął się Castaldo, dowódca wojska i w imieniu cesarza Austryi oświadczył zebranym, że zwycięzki cesarz Austryi, Karol V., obiecuje Izabelli, jeśli zrzecze się regencyi, nadać księstwo Opolskie i Raciborskie na Śląsku, a syna jej ożenić z wnuczką swoją, córką Ferdynanda; żąda jednak, aby Izabella sama publicznie tu na sejmie koronę Węgier w ręce jego oddała.

Izabella, nie powstając z krzesła, zwróciwszy się tylko twarzą ku wodzowi wojsk zwycięzkich, poważnym odparła tonem:

— Milszy synowi mojemu pokój, nad wątpliwą koronę, sama w ręce wasze ją oddam.

To powiedziawszy; skinęła na hrabiego Temae, aby kazał przynieść znaki godności królewskiej.

Spełniono jej zadanie. Hrabia Temae sam podał jej na poduszce koronę Węgier.

Izabella wzięła ją w drżące ręce, lecz, gdy zwracała się do Castaldo, korona wypadła jej z rąk i z hałasem potoczyła się po posadzce.

Kilku panów węgierskich porwało się z krzeseł i podniósłszy ją, podali napowrót królowej, tym razem oddała

ją Izabella przedstawicielowi cesarza Austryi, a Castaldo oddał ją jednemu ze swych dworzan.

— Mamo, czemuś oddała moją koronę tym brzydkim ludziom, ja nie chcę tego — krzyknął mały król i rączki wyciągnął do panów austryackich.

— Gdzie moja korona — wołał płacząc — nie zabierajcie mi jej!...

Izabella pochyliła się do dziecka, objęła je ramieniem i do serca przycisnęła.

— Cicho — cicho, maleńki, gdy urośniesz, Bóg ci odda sam tę koronę — rzekła.

I dziecko ucichło, obietnica matki wróciła mu uśmiech na usta.

— O kiedy tak, to ja chcę prędko urosnąć duży — odparło.

Smutni i milczący opuścili panowie węgierscy salę sejmową. Abdykacya Jana Zygmunta niemiłą im była, lecz nie czuli się na siłach stawiać Austryi dłużej oporu. Królowa równie milcząca, trzymając syna za rękę, za innemi podążyła. Właśnie stanęła w progu sali sejmowej, gdy mały Jan Zygmunt, wyrwawszy się jej przemocą, pobiegł napowrót w głąb sali.

— Mamo, co to? — zawołał, i pochyliwszy się, podniósł jakiś świecący przedmiot i pokazał go matce.

— Krzyż z korony! — krzyknęła Izabella i odebrawszy dziecku złoty przedmiot, pokazała mu stojącemu przy niej hrabiemu Tamae.

— Oby wypadek ten wróżbą stał się pomyślną dla Jana Zygmunta — rzekł hrabia — aby był przepowiednią, że korona ojca spocznie kiedyś na jego czole...

Krzyż ten istocie był odłamkiem korony, odpadł od niej w chwili, gdy królowa upuściła ją na ziemię. I dziwnym zbiegiem okoliczności wróżba dosłownie się spełniła.

Całej korony nie odzyskał Jan Zygmunt, lecz po wielu sporach z Austryą zawarł nakoniec ugodę, na mocy której Jan Zygmunt zrzekł się na korzyść cesarza Austryi tytułu króla Węgier, lecz za to cesarz odstąpił mu na własność Siedmiogród, będący częścią Węgier z tytułem księcia Siedmiogrodu.

Żale tułacza-robotnika.

Błądzę biedny het na świecie
Za zarobkiem i za pracą,
Choć mnie wszędzie bieda gniecie,
Choć mi wszędzie biczem płacą.

Boże! czemuż moja dola
Taka biedna, załzawiona?
Moje czoło wciąż okala
Z cierni wieniec i korona!

Porzuciłem kraj rodzinny
I rodzinne wiejskie chatki,
Lecąc chyżo w ten kraj inny,
»Na uciechy i dostatki!«

I poszedłem het daleko
Od swej wioski i matuli;
I łez moich pod powieką
Nikt już nigdy nie utuli.

Nikt nie otrze łez z powieki,
Nie przemówi w polskiej mowie,
Nie usłyszę szumu rzeki,
Tam szemrzącej po dąbrowie.

Nie usłyszę szmeru drzewa:
Ani brzozy, ni topoli,
Ani ptaszka, który śpiewa
O wieśniaczej nędznej doli.

Aż znużony, spracowany,
Na sen wieczny zasnę mile,
Przez nikogo nie płakany,
Legnę w obcej tam mogile.

Zakładajmy sady!

Do najpożyteczniejszych przemysłów pomocniczych rolnictwa należy niewątpliwie ogrodnictwo, właściwie sadownicwo. Sad bowiem utrzymywany w należytym porządku, przynosi ogromne korzyści. Lecz chcąc, aby drzewa owocowe wydawały plon obfity — taki, jaki powinny wydawać, trzeba koniecznie zastosować w sadownictwie niezbędne ku temu warunki, polegające na umiejętnem zakładaniu sadów i troskliwem pielęgnowaniu drzew.

Że gospodarze w naszym kraju wcale nie zdają sobie z tego sprawy, dowodzi najlepiej fakt, iż wzorowych sadów prawie że nie mamy, a jednak sadownictwo jest niezbędnem przy gospodarstwie, gdyż sama tylko uprawa roli (i jaka to jeszcze uprawa!), nie wystarcza na utrzymanie licznych rodzin.

Dawniej, kiedy było o wiele mniej ludzi, natomiast ziemi każdy miał więcej, mógł z niej ciągnąć większe korzyści i zaniedbywać inne pomocnicze przemysły. Z biegiem czasu, ludzie się rozmnożyli, ziemi zaś nie przybyło, została ona tylko podzielona na drobne cząstki i z rokiem każdym rozdrabnia się coraz bardziej. Skądże więc sama tylko uprawa kawałka ziemi może przynieść tyle zysku, aby wystarczyło i na zapłacenie uciążliwych podatków i na zupełne utrzymanie rodziny?

Na pozór zdaje się, że sadownictwo nigdy nie może dać tego, co — ziemia, lecz dobrze wniknąwszy w tę sprawę, przyjść można do zupełnie innych wyników. Dla przykładu weźmy chociażby zwykłą gruszę polną, którą często spotykamy na naszych polach. Przeciętnie z jednej takiej gruszy mamy rocznego dochodu co najmniej 5 koron. Na mordze ziemi nie powinno być więcej drzew jak 100, a najwyżej 120. W takim razie morga, zasadzona gruszami polnemi, dałaby nam zysku 600 koron bez żadnego przy tem wydatku i pracy. Prawda, że drzewa owocowe nie dadzą tyle plonu, co polne, lecz za to o wiele drożej go sprzedajemy.

Sadownictwo daje olbrzymie zyski, trzeba tylko zastosować pewne ulepszenia, gdyż, trzymając się starego sposobu przy jego uprawie, dobrowolnie pozbawiamy się pewnej części dochodu. Sadownictwo bowiem, jak i inne przemysły, zrobiło znaczne postępy, zwłaszcza w ostatnich czasach, w postaci rozmaitych ulepszeń, doświadczonych długoletnią praktyką.

Zanim przystąpi się do założenia sadownictwa, trzeba wpierw poznać składowe części, z których złożona jest nasza ziemia — karmicielka; ma ona trzy główne warstwy. Pierwsza warstwa — zwana zwykle glebą — leży na samym wierzchu — koloru czarnego i stosownie do tego, czy jest to czarnoziem, czy też piasek, ma odcień ciemniejszy lub też jaśniejszy. Druga warstwa — to podglebie; z samej nazwy wnioskować możemy, że leży tuż pod glebą. Trzecia warstwa — to podłoże: nazwana podłożem dlatego, że pierwsze dwie warstwy leżą na niej jakoby na łożu.

W rolnictwie i ogrodnictwie najważniejszą rolę z powyższych trzech warstw gra pierwsza — gleba, w sadownictwie zaś przeciwnie ostatnia — podłoże. Nieraz słychać narzekania, że urodzajna gleba, częstokroć najlepszego gatunku, nie rodzi wydajnych drzew, a to dlatego, właśnie, iż podłoże w takim razie nie dużo jest warte. Jeżeli zaś podłoże okaże się żyznem, powierzchnia część — gleba może być najgorszego gatunku i to bynajmniej nie wpłynie na wydajność drzew.

Z powyższego wypływa, że wpierw trzeba dobrze zbadać owe trzy warstwy ziemi i zakładać sady w tej tylko miejscowości, gdzie podłoże okaże się żyznem, gdyż w przeciwnym razie narazilibyśmy się na straty.

Przy sadzeniu drzewek owocowych trzeba zachować stosowną odległość jednych od drugich: jedne bowiem drzewa puszczają korzenie w głąb, przeto takie potrzebują mniejszej odległości, inne zaś — w strony i w tym razie musimy je sadzić rzadziej.

Przy budowie domu zwracamy pilnie uwagę na fundament, od którego zależy trwałość budynku. Jeżeli fundament będzie założony na stosownej — twardej ziemi, — pobudowany na nim dom może przetrwać długie lata, gdy

pod fundament nie znajdziemy stałego gruntu, a postawimy go wprost na piasku, — trwałość budynku w takim razie nie jest zapewnioną. To samo mamy przy sadzeniu drzew owocowych. Jeżeli pod sad znajdziemy dobrą rolę i prawidłowo go zasadzimy, możemy po pewnym czasie napewno spodziewać się pewnych zysków, gdy zaś założymy sad na niedogodnej dla niego ziemi, czyż możemy, mieć z niego jaką korzyść? Owszem będzie, ale nie taka, jaka powinna być.

Doły pod drzewa trzeba kopać głębokie i szerokie, przytem w żadnym razie nie można mieszać wyżej wspaniałych trzech warstw ziemi, lecz każdą z nich kłaść oddzielnie. Wykopane doły muszą zostawać odkrytemi od 3 do 6 tygodni; w przeciągu tego czasu korzenie roślin i wogóle wszystkie kwasy, co tylko przeszkadzały róść drzewu, ulotnią się. Potem tylko można przystąpić do sadzenia; przy zasypywaniu dołów wpierw się kładzie glebę, później podglebie i nareszcie na wierzchu podłoże; warstwy te można lekko przekładać nawozem. Na wierzchu, po zasypaniu dołu, robi się miseczkę, gdyż drzewa przez jakiś czas trzeba koniecznie polewać.

Pale przy drzewkach muszą być proste, gładkie, aby nie kaleczyły sadzonek, na ostro zakończone. Końce pali przed wbiciem w ziemię, bardzo korzystnie jest umaczać w smole, lub też pomalować farbą, gdyż wówczas tak prędko nie gniją. Zachodzi jeszcze pytanie, z której strony drzewka trzeba wbijać pale? Otóż tu zdania ogrodników są rozdwojone: jedni bowiem twierdzą, że trzeba je wbijać na południe, inni znowu, że na północ. Pierwsi powiadają, że pale zasłaniają drzewka na wiosnę od raptownego działania promieni słonecznych, a przez to bronią ich od uschnięcia; drudzy, — że pale bronią drzewka od zimnych wiatrów, wiejących z północy, chociaż podobno pierwszy sposób jest o wiele praktyczniejszy od drugiego, tylko z warunkiem obwiązania drzewka na zimę słomą, aby nie zmarzły na silnym mrozie.

Na najniższych miejscach sadzi się zwykle śliwki, dalej idą gruszki, czereśnie, nareszcie na najwyższem — włoskie orzechy. To ostatnie drzewo, słusznie przyrównywane do »żydowskiego konia«, potrzebuje najmniej żyznego gruntu

i wtedy tylko dobrze rodzi, jeżeli zasadzone jest na marnej ziemi i wiatr dobrze pogruchocze mu gałęzie. Gdy zaś tą odmianę orzechów posadzić na urodzajnem, niskiem miejscu, wtedy drzewo wybuja, lecz za to da skąpy owoc.

Po kilkudziesięciu latach po zasadzeniu, drzewa przestają rodzić, wewnątrz próchnieją, gałęzie zaczynają schnąć, — słowem drzewo, jak każdy organiczny przedmiot ulega ostatecznemu zniszczeniu — śmierci. W takim razie drzewa te wycina się, a na ich miejsce sadzi się inne. Sad trzeba koniecznie utrzymywać w porządku: nie wolno tedy pod żadnym pozorem pozwolić dzikim roślinom rosnąć tuż przy drzewach, aby nie zabierały soków ziemi, któremi właśnie żyją drzewa; na wiosnę obiera się z drzew wszystkie robaki, gdyż w przeciwnym razie zniszczą zawiązki owoców.

Uprawa roli, sadownictwo, ogrodnictwo i inne pomocnicze przemysły tworzą razem tak zwane gospodarstwo wiejskie, od dobrego prowadzenia którego zależy cały byt materyalny rolnika. Przypatrzmy się dobrze naszym gospodarzom, wniknijmy w ich życie, w ich odżywianie się, a zobaczymy, że mogliby oni lepszy prowadzić żywot, lepiej odżywiać się, gdyby, nie spuszczając się na samą tylko uprawę roli, zaprowadzili u siebie praktyczne gospodarstwo wiejskie.

Kartofle, groch, kapusta — to główne produkty spożywcze, któremi ludzie na wsi żyją cały rok. To też gospodarz, zaledwie zje obiad, pójdzie do jakiej ciężkiej roboty, naprzykład do młócki, czuje w bardzo krótkim czasie osłabienie, bo siły człowieka zależą nie od ilości, lecz od jakości spożywanych pokarmów. W innych krajach, które daleko nas uprzedziły pod tym względem, jak naprzykład w Belgii, Danii, Niemczech, Czechach każdy rolnik prowadzi nie samą tylko uprawę ziemi, lecz — gospodarstwo wiejskie, dlatego też lud tam inny prowadzi żywot.

Kraj nasz leży w pasie zbóż i sadów, lecz jakże mało umiemy korzystać z darów przyrody, jak mało cenimy jej dobrodziejstwa! My zamiast wysyłać owoc za granicę, powiększać i bogacić przemysł krajowy, stamtąd je sprowadzamy, bo nasze sadownictwo tak jest mało rozwinięte, że nie wystarcza dla nas samych. W cesarstwie rosyjskiem są obszary, jak n. p. północne gubernie, olbrzymie przestwo-

rza Syberyi, gdzie z powodu surowego klimatu, sadownictwo jest niemożebnem; stamtąd tedy na wiosnę przyjeżdzają do Królestwa przemysłowcy z całemi nieraz rodzinami, wydzierżawiają sady i ziemię pod ogrodnictwo w tak zwanym pasie fortecznym w okolicach Warszawy, płacą po 100 rubli za morgę, i setki jeszcze na tem zarabiają, nie licząc znacznych kosztów podróży.

Czyż wobec tego można powiedzieć, że sadownictwo lub ogrodnictwo nie opłaci się? Dlaczegóż tedy, mając własny kawałek ziemi, zaniedbujemy sadownictwa, a tym samym dobrowolnie pozbawiamy się korzystnych i pewnych zysków? O, bo my chcielibyśmy, aby drzewko dziś zasadzone, jutro przyniosło nam dochód! Musimy uczyć się cierpliwości; jest ona niezbędną przy zakładaniu sadów.

Powinniśmy tedy wytężyć wszystkie siły nasze, abyśmy, ulepszając i prowadząc gospodarstwo wiejskie, mieli nietylko na zapłacenie podatku, lecz co jeść, w czem chodzić, aby ta nasza ziemia — karmicielka, wychowawczyni tylu pokoleń, za którą ojcowie nasi przelewali swą krew na polach Grunwaldu, Chocima, Wiednia, nie przechodziła w ręce wrogich nam przybyszów, lecz pozostała na zawsze w naszym ręku!...

Sen zimowy u zwierząt.

Wraz z nadejściem długotrwałych słot i chłodów jesiennych, zwiastujących zbliżające się śniegi i mrozy, milknie na polach i lasach naszych wesołe, gwarne życie. Napozór wszystko zamarło, zniknęło, a przecież tak nie jest. Niech tylko wiosną zabłyśnie słonko, wnet zaroi się w powietrzu tysiące barwnych owadów, zadzwoni szczebiot ptasząt, w trawie i w krzakach, wśród gałęzi drzew przewijać znowu będą przeróżne drobne, płochliwe stworzonka.

Gdzie więc podziewają się one na zimę?

Rozmaicie poczynają sobie mądre zwierzęta, aby zabezpieczyć się przed nieubłaganym wrogiem — mrozem, chłód i głód niosącym.

Oto cichy, chłodny już poranek jesienny. Na rozległych błoniach rozpostarły się gromady bocianie; myślałby kto, że to stada gęsi pasących się na trawie. Coraz jeden to drugi wzniesie się w powietrze, zatoczy kilka kręgów i znowu opada. Czasem w tłumie zacznie się jakiś zamęt, bójka. Narada trwa długo. Wkońcu cała gromada zrywa się do lotu.

Bociany odlatują hen, daleko ku południowej stronie, do drugiej ojczyzny, zawsze ciepłej i słonecznej, zawsze w żer obfitującej. A na miejscu dziwnych obrad zostało tylko kilkanaście trupów lub dogorywających rannych. Słabe kaleki ptaki opóźniałyby daleką podróż powietrzną innym, a od pospiechu zależy całość i prowadzenie gromady, więc z wyroku starszyzny — giną, bezlitośnie usunięci dla dobra ogółu.

Przepędziwszy zimę w ciepłych krajach, przeważnie w Egipcie, nasz poczciwy bociek wraca wiosną, wierny rodzinnej ziemi i chacie, aby u nas dzieci zrodzić i wychować, i zaszczepić w nich także miłość stron ojczystych.

Podobnie jak bociany, opuszczają nas na zimę wilgi, kukułki, ziemby, drozdy, jaskółki, przepiórki, skowronki, słowiki, żórawie, dzikie gęsi i kaczki. Dlatego nazywamy je wszystkie ptactwem przelotnem. Nie zimno to wypędza od nas tę skrzydlatą rzeszę; główną przyczyną tej wędrówki jest brak pożywienia. Owady wyginęły lub schroniły się w głąb ziemi, owadożerne więc ptaki muszą gdzieindziej szukać sobie pożywienia Te, które żywią się ziarnem lub większemi stworzeniami, pozostają, nie lękając się zimna, a ciepłe pierze i ciągła ruchliwość bronią je od zmarznięcia.

Takiemi są: wróble, trznadle, szczygły, sikory, sroki, wrony, kruki. Niektóre z nich, nawet uganiające się latem za robakami i owadami, zimą wyrzekają się ulubionego pożywienia i poprzestają na różnych nasionkach i owockach, byle pozostać w kraju. Gromadami zlatują z lasów bliżej ludzkich domostw, bo wiedzą, że tu łatwiej znajdą jakieś porzucone ziarno lub resztki żywności, i tak przebiedują zimowe miesiące.

Często też znajdą się i litościwi ludzie, którzy posypią gdzie niegdzie trochę ziarna lub odpadków pożywienia

dla biednych zgłodniałych ptasząt. Wynagrodzą one i odpłacą stokrotnie latem tę jałmużnę, niszcząc tysiące szkodliwych owadów po polach, drzewach owocowych i warzywach, tak, że najoszczędniejszy gospodarz nie traci na swej ofiarności. Dla wielu wystarczy jako nagroda piękny śpiew i ożywienie, jakie te skrzydlate stworzonka wnoszą w nasze otoczenie. Jakież nieludzkie wobec tego jest chwytanie ptaków w sidła, korzystanie z ich nędzy i zaufania!

Między naszemi miejscowemi uwijają się także zimą przybysze z krajów północnych — gile o czerwonem podgardlu, głośno pogwizdujące. Nasze 20-stopniowe mrozy wydają się im wcale znośne w porównaniu z zabójczem zimnem i wichrami ich mroźnej Ojczyzny; przylatują więc do nas i dopiero na wiosnę wracają do gniazd rodzinnych. Gościem także z krain północnych jest jemiołuszka, żywiąca się po lasach przemarzniętemi jagodami jemioły.

Żadne z ptaków nie robią sobie na zimę ciepłych gniazd ani zapasów żywności. Mądrzej radzą sobie zwierzęta czworonożne. Nie mają skrzydeł, nie mogą odlecieć od nas w cieplejsze strony, więc muszą znaleźć inny sposób przetrwania ciężkiej zimowej pory.

Znana wszystkim zgrabna, ruchliwa wiewiórka, »gajów tanecznica« — jak zowie ją Mickiewicz, jest pomimo upodobania w swawolnych pląsach zawołaną gosposią. Krząta się pilnie przez całą jesień, znosząc orzechy laskowe, żołędzie, buczynę ziarnka z szyszek drzew iglastych do kilku dziupli drzewnych i norek między korzeniami drzew. A umie przebierać: między orzechami nigdy nie znajdzie się zepsuty. Z nadejściem zimy, rzuca wiewiórka uwite wśród gałęzi gniazdko i przenosi się do dziupli, wysłanej ciepło mchem i liśćmi. Tam spędzi większą część dni zimowych w miłej drzemce, wychodząc tylko na krótko, aby posilić się w porozmieszczanych w pobliżu swoich spiżarniach, i poskakać nieco po ośnieżonych gałęziach. Podobnie urządza sobie zapasy zimowe po norach mysz leśna.

Innego rodzaju spiżarnie obmyśliły sobie niektóre zwierzęta czworonożne, jak borsuki, jeże, niedźwiedzie. Oto jedzą one tak żarłocznie przez całą jesień, że stają się baryłami tłuszczu. W pierwszy zimniejszy dzień chowają się do przygotowanej wcześniej nory zimowej i tam zasypiają głębo-

kim snem, kilka miesięcy trwającym, nie jedząc przez ten czas nic, a zużywając tylko zapasy tłuszczu nagromadzonego we własnem ciele.

To też na wiosnę wyglądają jak szkielety, bo pozostaje w nich jeno skóra i kości. Nory zimowe są zwykle miękko wyścielone, a wejście do nich szczelnie mchem, kamieniami i t. p. zamknięte. Niektóre zwierzęta, jak jeż, borsuk, niedźwiedź, mieszkają pojedynczo, nietoperze zaś lubią zbierać się w gromadki.

Sen zimowy jest tak twardy, że zwierzę w tym stanie wygląda jak martwe: ciało jest sztywne i chłodne, na ból nieczułe. Niektóre jednak z takich śpiochów w razie łagodnej zimy budzą się od czasu do czasu, wychodzą, i rozprostowawszy przechadzką otrętwiałe członki, zasypiają znowu głęboko. Nieraz niedźwiedź, żywiący się zwykle tylko roślinami, rozbudzi się, a zgłodniały, wychudzony długim postem, zamienia się w drapieżcę, i w braku jagód, trawy i tym podobnych przysmaków, rzuca się na owce. Rozłakomiony, zwykle pozostaje już nadal mięsożercą.

Między zwierzętami czworonożnemi, tak samo jak między ptakami, są stworzonka, którym rodzaj ich pożywienia pozwala wygodniej przetrwać zimę. Takiemi są myszy, przenoszące się jesienią do zabudowań ludzkich, a także krety, zakopujące się głębiej w ziemię, do cieplejszych jej warstw, gdzie podostatkiem jest robaków.

Pozostają także wszystkie drapieżce, to jest zwierzęta czworonożne i ptaki żywiące się mięsem innych zwierząt, im bowiem i zimą nie braknie żeru. Biedne zające, zziębnięte i zgłodniałe, tułając się po polach, stają się często łupem lisa lub wrony. Zwierzęta takie zmieniają jesienią lekką sierść letnią na ciepłą, puszystą szubę zimową zabezpieczającą je lepiej od zimna i śniegu.

Ryby chronią się jak najgłębiej. Zaby i węże zagrzebują się starannie w ziemię i zasypiają w otrętwieniu zupełnem.

Owady również szukają kryjówek między zeschłemi liśćmi, albo pod korą drzew i tam zasypiają. Zresztą jest ich niewiele, gdyż większa część ginie jesienią po złożeniu jajek! Jajka te są zwykle starannie zabepieczone od mrozu przez przewidującą troskliwość matki: niektóre ćmy otulają

jajeczka włoskami wyrwanemi z własnego odwłoka. Młode gąsienice zbijają się w gromadki i otulają oprzędem.

Śpią nawet pracowite mrówki snem tak twardym, że nie potrzebuję wcale pożywienia. Oglądając zimą mrowiska, znajdziemy tak zasobne zwykle śpiżarnie zupełnie puste.

Jedynie pszczoły uwijają się gorliwie przed jesienią, aby zebrać zapasy miodu na miesiące zimowe. Te niestrudzone pracownice zimą dopiero odpoczywają; zawieszone łapkami u plastrów miodu drzemią, budząc się tylko kiedy niekiedy i zaczerpując z plastrów słodkiego pokarmu.

Sen zimowy orgarnia nietylko większą część zwierząt, ale i rośliny. Śpią w zimie całe lasy, łąki i pola pod ciepłą pierzyną puszystego śniegu. Jesienią, gdy dnie już są krótsze i chłodniejsze, soki z drzew zwolna spływają z liści w konary i pień, a liście marwieją i opadają. Pozostanie liści na zimę groziłoby roślinie podwójnem niebepieczeństem: delikatne liście marzłyby łatwo, zamarzłby zawarty w nich sok i to naraziłoby całą roślinę na śmierć natychmiastową; następnie, śnieg zatrzymujący się na liściach łamałby swym ciężarem drzewo czy roślinę. Tymczasem soki roślinne ściągnięte do pnia są zupełnie bezpieczne od zamarznięcia, a z nagich gałęzi śnieg opada bez szkody dla nich.

Drzewo zasypia, to znaczy, soki w niem krążyć przestają, przestaje się ono odżywiać. Najbardziej na zmarznięcie wystawiona część drzewa — delikatne przeszłoroczne pączki, otulone są grubą powłoką srebrzystych włosków, kleju i twardych łusek.

Niektóre mniejsze rośliny zamierają na zimę zupełnie, pozostawiając jedynie nasionka, które twarda skorupka zabezpiecza od mrozu. Inne ściągają wszystkie soki do podziemnych swych części. Nadziemska łodyga i liście zsychają, ale z pozostałej części podziemnej wystrzeli na wiosnę nowy pęd. Takie rośliny nazywamy bylinami.

Roślinki, kiełkujące jesienią, naprzykład zboża ozime, ratuje od zmarznięcia jedynie puchowe pokrycie śniegu, to też mroźne a bezśnieżne zimy są częstokroć klęską dla rolnika.

Tak samo, jak są zwierzęta, które odważnie znoszą twardą, zimową porę, nie zmieniając wcale, lub niewiele

swoje zwyczaje, tak są i rośliny, które zimą nie zasypiają, odżywiają się jak zwykle i soki w nich krążą bez przerwy. Takiemi są drzewa iglaste, czołgający się w lesie na ziemi barwinek, pnący się po drzewach bluszcz. Ale i te nieliczne, nie poddające martwocie rośliny, smutno wyglądają wśród ponurej ciszy zalegającej pola i lasy.

Trzeba wiedzieć i przedstawić sobie, że ta martwota to nie śmierć bezlitośna, ale dobroczynny sen, w którym pogrążona matka-ziemia wypoczywa po pracy, aby nabrać sił nowych i wiosną nowem zakwitnąć życiem; że pod twardym lodem i śniegiem zmarzniętej ziemi czeka tysiące nasion i łodyżek, aby z pierwszym promykiem wiosennego słońca przebić zieleniejącym pędem resztki śniegu i wystrzelić ku słońcu świeżemi liśćmi i kwiatem — nadzieją nowych plonów.

Niechże więc i dla nas zima będzie taką porą spoczynku tylko, a nie martwoty. Wolniejsi od ciężkiej w polu pracy, zabezpieczeni od zimna w ciepłych i widnych domostwach naszych, znajdźmy czas i ochotę do rozważania otaczających nas dziwów, do zastanawiania się nad nieginącem dookoła nas życiem. Czy zwierzęta i rośliny wiedzą, że zima się skończy, że wiosna je odrodzi i do nowego powoła życia, nie wiemy; wiemy jednak dobrze, że człowiek ma napewno ten bezmierny, cudowny skarb — nadzieję, która nawet wśród najstraszniejszych zawiei zimowych daje mu pociechę, że po nich zawsze, nieodwołalnie wrócą radości wiosny, nowe życie, nowe trudy i zawody, ale też i nowe dla teraźniejszych i dalszych pokoleń plony.

Z GOSPODARSTWA.

Zaziębianie się bydła.

W jesieni bydło zaziębia się często przy nadchodzącem zimnie, a objawy te zaziębienia — zwykle febrą kataralną nazywamy. Gorączka, zapalenie oczu, niebieskawoczewonawe zabarwienie błony nozdrzowej, oraz wysięk wodnisty z nozdrzy, są zwykłemi oznakami choroby.

Przy widocznej niemocy i obezwładnieniu, odpływ z nosa robi się żółtym — często krwistym, a na błonie

nosowej i pyskowej występują czerwone i fioletowe plamy. Zwierzę objawia niepokój i trzęsienie się, a w chwili największej gorączki odlatują kawałki błony śluzowej wraz z odpływem nadpsutym.

Przy leczeniu gorączki najpierw należałoby dać zwierzęciu ciepłą, bez przeciągów stajnię, następnie okryć je derką i dawać lekko strawną paszę, składającą się z mąki rozbełtanej w wodzie i zaprawionej odrobiną kwasu solnego. Doskonałe są również wdychaniem z pary wodnej z octem zmieszanej. Zalecamy przytem okłady z gliny i octu na karku, głowie i podstawie rogów, również i lewatywy z wody mydlanej.

Głąby kapuściane

należy bezwarunkowo po sprzęcie kapusty i po przesuszeniu spalić na polu. Gdy głąby pozostaną na polu, można po niejakim czasie zauważyć na nich pewne małe zarośla; są to siedziby liszek wylęgłych z jajek galasówki kapuścianej.

Galasówki są to owady, posiadające u odwłoku zamiast żądła ostrą rurkę, która służy im do składania jajek w liście i gałązki roślin; jednocześnie z jajkiem napuszczają one w nakłóte miejsca ostrej cieczy, od której powstają szczególne narośla, które są soczyste i służą za pokarm wylęgłym liszkom.

Takie narośla napotykamy między innemi na liściach (dębów i grabów). Galasówki kapuściane składają swe jajka pod skórą głąbów, a wylęgłe liszki, których na głąbie czasem do 50 się znajduje, stają się powodem, że kapusta nie wyrośnie, nie zwinie się, słowem, nie udaje się. Czasem tylko gdzieniegdzie trafi się marna główka, tak, że obecność galasówek ujdzie uwagi.

Gdy jednakże głąby pozostaną na polu, liszki galasówek rozwijają się bez przeszkody i na wiosnę wylatują gotowe znów owady, które na nowej kapuście, nowe dalej jajka składają. Zoranie kapuśników przed zimą, nie zniszczy liszek w głąbach, tak samo wyrwanie głąbów i złożenie ich na kupie kompostowej lub gdziebądź. Liszkom galasówki nie zaszkodzi ani mróz, ani przykrycie ziemią; jedynie ogień może je zniszczyć doszczętnie.

Przechowywanie owoców.

Zbierając owoce, zważa się: 1) aby owoc był dojrzały; 2) aby był zerwany bez uszkodzenia (nadbicia); 3) aby był zerwany w pogodny dzień, 8.do 10 dni przed dojrzewaniem; 4) aby dopiero w kilka dni po zerwaniu był składany w piwnicy. Miejsce przeznaczone na przechowanie owoców ma być czyste, suche, zamiecione i obmiecione, mieć świeże wilgotne powietrze i okienko do otwierania, by przewietrzyć można. W piwnicy, w której się owoce przechowuje nie trzyma się kapusty, ani ogórków, wogóle nic, co ma przykry, nieprzyjemny zapach, albo szybko się psuje.

Jabłka, które mają być schowane przez zimę, zrywa się, nie trzęsie, w suchy słoneczny dzień, układa rzędami jedno obok drugiego, ale tak, by się nie dotykały, ogonkami na dół (gruszki układa się ogonkami do góry), na półkach drewnianych, wyścielonych papierem, nie słomą.

Półki kilka dni przed układaniem owoców szuruje się ługiem i do sucha wyciera ścierką. Gdy owoce są już ułożone, nakrywa się je papierami, chroniąc je przed działaniem światła, które przyspiesza dojrzewanie owocu.

Ułożywszy owoce, jeżeli pogoda sprzyja, otwiera się okienko w piwnicy na 1 do 2 dni, poczem zamyka się je na całą zimę. Raz na tydzień przebiera się owoce, podpsute zabiera się do użytku. Zimowe owoce układa się tylko w dwie warstwy, kładąc jednę warstwą na drugą; lepiej, jeżeli jest wiele miejsca, ułożyć tylko jedną warstwę owoców. Najniższa półka powinna sięgać na pół metra od ziemi, druga półka powinna być nad pierwszą na 30 cm. i tak dalej, aż do samego sufitu piwnicy. Żeby owoce nie spadały z półek, brzegi ich obija się wystającą listwą.

Jabłka suszone czyto tak zwany „susz".

Do suszenia wybiera się owoc dojrzały, rwany, nie trzęsiony, gdyż trzęsiony owoc będzie miał po osuszeniu brzydkie brunatne plamy. Jabłka świeżo zerwane, jednego gatunku, obiera się ze skórki, gdyż ta twardnieje po osuszeniu, kraje na kawałki, by łatwiej wyschły, wycina się kaczan i robaczliwe miejsca. Jabłka układa się na desz-

czułkach tak zwanych laskach (bo owoc wsypany bezpośrednio na dno pieca, łatwo by się w popiele zanieczyścił)— zastosowanych do wielkości pieca, tak by się owoce nie stykały i zasuwa się do gorącego pieca po chlebie.

Od jednego razu owoc się nie ususzy, więc na drugi dzień należy go wyjąć wraz z deszczółkami (laskami), w piecu znowu trochę przepalić, aby się nie rozgrzał i owoc przesuszony zasunąć do pieca, uważając, by się nie spalił. Tak powtarzać, pokąd owoc nie będzie suchy. Po ususzeniu owoc, jeszcze ciepły wystawia się na chłodne powietrze. by dobrze wystygł, poczem dopiero składa się do skrzynek lub worków i trzyma w suchem, przewiewnem miejscu, najlepiej na strychu.

Suszone owoce trzeba przepatrzeć od czasu do czasu, czy nie pleśnieją lub czy nie rzucają się na robaczki, w takim razie należy je powtórnie przesuszyć.

Rozmaitości.

Dzielna dziewczyna. We wsi Solczy (w Królestwie Polskiem), cztery mile od Miechowa napadli niedawno zbóje na dom gospodarza Franciszka Żarnowieckiego. Było to w nocy, kiedy wszyscy domownicy spali.

Na podwórzu zrobił się nagle jakiś ruch, dało się słyszeć przytłumione bieganie i głosy ludzkie. Do drzwi zaczął ktoś pukać. Na pytanie żony Żarnowieckiego: — Kto tam? — odpowiedział ktoś: — Jaś! — Ale Żarnowiecka poznała, że to nie jest głos jej wnuka Jasia, sypiającego z ojcem w stodole; drzwi więc nie otworzono.

Wtedy zbóje wystąpili już otwarcie. Nie mogąc wywalić drzwi, rzucili się do okien. Ale okna były zakratowane, bo Żarnowiecki słysząc o napadach w okolicy dobrze swój dom zabezpieczył. Wtedy stało się coś, co może nie dziwiłoby nikogo, gdyby to było gdzieś na pustyni, w bezludnym lesie, w kraju dzikim, gdzie niema żadnego bezpieczeństwa, żadnej policyi...

Oto zbóje wyrąbali wielką dziurę w ścianie i przez ten otwór weszli do środka. Przedtem jeszcze podparli

z pola drzwi stodoły, żeby śpiący tam syn i wnuk Żarnowieckich nie mogli wyjść i bronić napadniętych w domu.

Wdarłszy się do izby przez otwór w ścianie, zbóje związali starego Żarnowieckiego i służącą, i popychając staruszkę gospodynię, zaczęli domagać się od niej, aby im pokazała, gdzie są schowane pieniądze.

Zabrawszy wszystko co było, zaczęli zbóje dobijać się do drugiej izby, w której spała córka Żarnowieckich, wdowa Ochędożkowa z 12-letnią córką Franią. Jeden ze zbójców, chcąc przestraszyć kobiety i zmusić je do otwarcia drzwi, wybiegł na podwórze i wsunąwszy przez zakratowane okno rękę z rewolwerem do izby, zaczął strzelać na oślep.

Ale tu napotkał opór. Oto Frania chwyciła duży nóż, tasak, i przysunąwszy się ostrożnie ku oknu, tak rąbnęła zbója w rękę, że mu wypadł rewolwer; z bólu zaczął zbój aż wyć. Matka dzielnej dziewczyny również chwyciła siekierę i stanęła gotowa do obrony. Strzały, krzyk kobiet i szczekanie psów obudziły wreszcie wiejskich stróżów nocnych, którzy zaczęli trąbić i budzić ludzi ze wsi. Zbóje, słysząc to, uciekli. Tak obroniła się dzielna dziewczyna z matką. Zbóje zapewne wkrótce zostaną schwytani, bo na ślad ich już trafiono. Szczególniej tego, który otrzymał cios w rękę, łatwo będzie poznać.

Wykopany skarb. W Stankowej w powiecie kałuskim włościanie Dmytro Bojko i Ilko Janicki wykopali na własnym gruncie 5-litrowy garnek z monetą, pochodzącą z lat od 1600 do 1660. Są to monety polskie z czasów Zygmunta III., Jana Kazimierza i Władysława IV., a nadto weneckie, brandenburskie, szwedzkie i hiszpańskie.

Drapacz nieba w Warszawie. Jeden z przedsiębiorców warszawskich zamierza wznieść dom o 16 piętrach. W budynku mają być tylko mieszkania jedno, dwu i trzypokojowe z kuchniami, a ponadto sklepy z artykułami spożywczymi, pralnie, kąpiele, łaźnie, sale koncertowe itp.

Jak w Rosyi kradną. W Petersburgu rozpoczął się proces przeciw jenerałowi Uchacz-Ogorowiczowi, który podczas wojny rosyjsko-japońskiej skradł przeszło pół miliona rubli.

Milion marek w piecu znaleziono po śmierci jakiegoś Looza, który w miejscowości Heiligfeld pod Warchurgium (w Bawaryi) umarł w bardzo nędznych stosunkach. Oprócz miliona w papierach wartościowych znaleziono jeszcze 250 tysięcy marek gotówki w szafie kuchennej. Looz wniósł przed 14 laty o zwolnienie go z podatków i od tego czasu nie płacił ani grosza podatku. Wobec tego zafantował fiskus całą pozostałość.

Psy wartownicze. Wiedeńska gazeta „Reichspost" donosi, że celem wzmocnienia straży przy arsenałach podczas godzin nocnych zaprowadzone zostały psy wartownicze w Wiedniu i Krakowie. Dla Wiednia zakupiono 6 takich psów, a dla Krakowa 2. Na utrzymanie tych psów wstawiono do budżetu wspólnego ministerstwa wojny na rok bieżący kwotę 956 koron. Psy takie od lat kilku są już zaprowadzone po fortach twierdzy krakowskiej i przemyskiej.

Kule świecące. Wojskowość austryacka urządziła niedawno na polu wzlotów w Wiener-Neustadt ciekawą próbę. Komendant oddziału posiadającego maszyny do latania (aeroplany) podpułkownik Uzelac, wzniósł się w górę na latawcu i rzucał w czasie jazdy z wysokości 600 metrów kule świecące, które jasnem światłem oświetlały ziemię na przestrzeni 500 metrów kwadratowych.

Omal nie śmiertelny uścisk... węgorza. W restauracyi „Bristolu" w Warszawie kucharz polecił chłopcu przynieść żywego węgorza z piwnicy do kuchni. Niosąc węgorza o dużych rozmiarach chłopak dla ułatwienia przewiesił węgorza przez ramię. Wijący się węgorz owinął się o szyję chłopaka i ścisnął tak, że chłopak zemdlał. Dla uwolnienia go z uścisku, który mógł życiem przypłacić, musiano węgorza rozciąć na pół.

Sześćdziesiąt osób otrutych! W miejscowości Campinia we Włoszech odbywał się u burmistrza miasta proszony obiad. Wszyscy goście po spożyciu lodów zachorowali ciężko z objawami otrucia. Dotychczas zmarło 60 osób.

Za głodzenie zwierząt. W New Castle (w Anglii) skazał sąd małżonków Foks na 10 szylingów (12 koron) kary i koszta za to, że zostawili w pustem mieszkaniu kota i kanarka bez jedzenia i napoju.

Policyant, słysząc żałosne miauczenie, wyłamał drzwi i uratował zwierzęta od głodowej śmierci.

Peruka w żołądku. Do głośnego chirurga rumuńskiego z kliniki bukaresztеńskiej, profesora Juwary, zgłosiła się tymi czasy pewna młoda kobieta, żaląc się na ogromne bóle żołądka. Lekarz, zbadawszy dokładnie chorą stwierdził, iż w żołądku jej znajduje się jakieś ciało stałe, wielkości conajmniej dwóch pięści człowieka.

Postanowiono dokonać operacyi. Po otwarciu żołądka, okazało się, że istotnie znajduje się tam jakiś dziwny przedmiot, który po oczyszczeniu rozpoznano jako duży kłąb włosów. Pacyentka, która obecnie powraca do zdrowia, zeznała, iż zwyczajem jej było wyrywać sobie włosy i połykać je. W ten sposób w żołądku nagromadził się wreszcie kłąb, który omal, że nie przyprawił jej o utratę życia.

Deszcz małych kamyków. Nad Pizą (we Włoszech) szalała straszna burza, połączona z oberwaniem chmury, podczas której przez kwadrans padał deszcz, z małych kamyków. Jak się zdaje, wir wietrzny w pobliskiej okolicy zerwał z ziemi całą masę drobnego żwiru i pędził ją nad miasto. poczem nastąpił upadek żwiru na miasto. Szkód większych nie było.

Podziwienia godna rzetelność. Właściciel wielkiej fabryki mydła w Nowym Jorku, niejaki Nathan Fish, zastrzelił się w celu pokrycia swych wierzycieli. Przez nieszczęsne spekulacye stracił on bowiem swój majątek, nie chcąc jednak swych wierzycieli zarwać, zabezpieczył się przed niedawnym czasem bardzo wysoko na życie, z tem zastrzeżeniem, że suma zabezpieczenia ma zostać po jego śmierci wypłaconą jego wierzycielom.

Człowiek mający złote kości. Do Waszyngtonu (w Ameryce) przybył tych dniach z Kanady pewien bogaty kupiec, nazwiskiem William Peters, któremu lekarze wprawili kilka złotych kości. Peters przed kilku laty uratować chciał tonącego przyjaciela swego, przyczem sam bardzo ciężko się pokaleczył. Lekarze dokonali na nim szczęśliwej operacyi. Kości zgruchotane wyjęto i zastąpiono złotemi, nawet część czaszki sporządzono z cienkich płyt złotych.

Barbarzyństwo Amerykanów. Miasto Cubling w stanie Georgia było widownią strasznych wykroczeń rozbestwionego tłumu przeciwko murzynom. Tłum złożony z około 2000 „białych", zburzył więzienie i wywlókł stamtąd jakiegoś 19 letniego murzyna, podejrzanego o zamordowanie pewnej białej kobiety.

Murzynowi zdarto z ciała ubranie i przestrzelonego niezliczonemi kulami trupa wleczono po różnych ulicach miasta, aż w końcu ciało jego okropnie zeszpecone powieszono na rynku dla przestrachu. Następnie rozbestwiony tłum zabić chciał w podobny sposób matkę owego murzyna, lecz policya na czas zdołała ją uratować, uwożąc ją w automobilu Ludność „biała" grozi murzynom zupełnem wytępieniem czarnej rasy. Zapowiadają się krwawe walki.

Nagroda za uprzejmość. Znany adwokat nowojorski, E. Marlow, otrzymał przed kilkunastu dniami, ku ogromnemu zdziwieniu, zawiadomienie, że zmarła niedawno w Hamden milionerka, Helena Marsh, zapisała mu w testamencie legat w kwocie 100 tysięcy dolarów.

Marlow przed kilku laty spotkał się z Heleną Marsh w pociągu i odstąpił jej swojego miejsca w przepełnionym wagonie sypialnym. Ujęło to tak staruszkę, że zapisała mu w testamencie wspomniany legat.

Poczta napowietrzna. Na całej przestrzeni księstwa Heskiego i w okolicach miasta Frankfurtu (w Niemczech) otwarto obecnie pierwszą regularną pocztę napowietrzną.

Jeżeli interesant życzy sobie, żeby jego list lub przesyłka zostały dostarczone „drogą powietrzną" to oprócz zwykłych znaków pocztowych nalepia jeszcze „Luft-Postmarke" („Poczta napowietrzna") za 10 fen. Listy takie mogą być wrzucane do zwykłych skrzynek pocztowych, z których odwożone są do biur pocztowych w Darmstacie, Offenbachu, Wormacyi i Frankfurcie nad Menem, a stamtąd balon sterowy „Schwaben" zabiera je i szybując po nad krajem, wyrzuca z łodzi w tej miejscowości, do której są adresowane.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szviewskiego.

Odezwa i prośba.

Z woli mych Przełożonych przeniesiony zostałem do nowego naszego klasztoru w Bronowicach Wielkich o siedem kilometrów od Krakowa oddalonego, w tym celu, abym zajął się budową nowego kościoła.

Ufny w pomoc Bożą pragnę całą duszą zabrać się do wykonania tego wielkiego dzieła. Bez pomocy jednak dobrych ludzi budowy kościoła przeprowadzić nie zdołam, gdyż nie posiadam funduszów potrzebnych, przeto przez Serce Pana Jezusa i Najświętszej Maryi Panny pukam do serc Waszych o ofiarę choćby najmniejszą, którą z wdzięcznością przyjmiemy.

Każdego zaś ofiarodawcę składającego 2 korony wpiszemy do Związku mszalnego z obowiązkiem odprawiania po wieczne czasy tak za życia jak i po śmierci 52 Mszy św. każdego roku, i według życzenia wyślemy mu albo obraz fundacyjny, albo „Pamiętnik naszej pielgrzymki do Ziemi św.“ opatrzony licznemi obrazkami, lub książeczkę do nabożeństwa o św. Antonim. Ofiary z wdzięcznością przyjmuje:

O. Zygmunt Janicki,

Kustosz OO. Reformatów i Gen. Komisarz św. Ziemi,
w Bronowicach Wielkich, poczta **Łobzów** koło Krakowa.

Figle i żarty.

Złe sąsiedztwo. — Dałam sobie znowu ząb wyrwać. — rzekła kłótliwa żona do męża.

— Oj cieszy się zębisko, że się wydobyło z sąsiedztwa języka, bo ten wieczny trajkot już go nieomal ogłuszył, — odrzekł niedelikatny małżonek.

Życzenia chorego. — Doktorze! chciałbym przynajmniej żyć dotąd, dopóki długów moich nie pospłacam.

— Ba: mój panie, to chciałbyś pan być nieśmiertelnym.